№ 6. Warszawa, dnia 24 Czerwca (6 Lipca) 1876 r. Rok I.

WARUNKI PRENUMERATY.

w Warszawie:

Rocznie rs. 4, półrocznie rs. 2, kwartalnie rs. 1, miesięcznie kop. 35.
Za odnoszenie do domu, dopłaca się kopiejek 5 miesięcznie.

ANTRAKT

GAZETA TEATRALNA

WARUNKI PRENUMERATY.

na Prowincji:

Rocznie rs. 6, półrocznie rs. 3, kwartalnie rs. 1 kop. 50.

Numer pojedynczy kop. 5.

wychodzi codziennie, nie wyłączając Niedziel i Świąt.

BIURO REDAKCJI ulica Krakowskie-Przedmieście Nr. 415 (15) w Pałacu Hr. St. Potockiego.
KANTOR GŁÓWNY i EKSPEDYCJA ul. Miodowa Nr. 496, w Zakładzie Fotograficznym J. Mieczkowskiego.

CENA OGŁOSZEŃ w SAMYM ANTRAKCIE.
Jeden wiersz petitem lub jego miejsce na jeden raz kop. 10, na 3 razy kop. 20, na 6 razy kop. 30.
Cena ogłoszeń w DODATKU o połowę mniejsza.

Reklamy przyjmują się po kop. 15 od wiersza.

Dziś św. Izajasza proroka i Dominiki Panny.
Jutro św. Willibalda i Apoloniusza.

× „I kamień ma swoją historję"! woła Edgar Allan Poë w jednym ze swoich prześlicznych utworów,—a my dodamy, że ma ją i także nowo otworzony sklep z wodami gazowemi w gmachu teatralnym przy wejściu do Teatru Rozmaitości.

Spojrzawszy na ten sklep—musujący... tylko powietrzem uwięzionem z wodą, doznaliśmy dziwnego wrażenia. Wszakże to w tem samem miejscu, siadywał niegdyś Panczykowski, brat sławnego komika, nieruchomy i surowy dla kupujących bilety, na paradyz tylko. Wszakże tam przez lat tyle zasiadał nieboszczyk pan Antoni, którego twarz uśmiechnięta sarkastycznie lub milcząca jak Sfinks, zdaje się dotąd wyzierać przez małe boczne okienko... Ileż to rozmów wesołych, ileż nowinek świeżo zebranych, obiło się o też same ściany, o które teraz obija się szum wody nalewanej z kranów metalowego syfonu. O! bywały chwile, w których tam szumiały szlachetniejsze napoje i gorętsze uczucia... Bo w tej ciasnej i przyćmionej izdebcę, zbierało się najrozmaitsze towarzystwo. Przy szczupłym nieboszczyku „Antosiu" zasiadał często drugi, kolosalny „Antek", także dziś już nieboszczyk i dawniejszy znacznie—lecz który w ówczas był *Jules Janinem* Warszawskim i dzierżył w ręku berło opinji publicznej; tam również zasiadali, na poufną gawędkę najznakomitsi artyści, którzy dziś już śpią snem nieprzespanym, na laurach zasłużonych pocciwie. Kudlicz, Dmuszewski, Werowski, Komorowski, Panczykowski, Majewski, stary Damse, wysiadywali często na twardej, zielonym suknem obitej ławeczce, pod oknem frontowem. A bywały momenta szczęśliwe, w których okopcone ściany tej „Kassy" rozświetlały się od blasku oczu, nadobnych kapłanek Thalji, ponętnych cór Vestrisa i melodyjnych Euterpy kapłanek. Trzebaż ażeby wdzięk, intelligencja i talent, zastąpione zostały przez ...wodę sodową. O wieku dziewiętnasty! wieku pozytywizmu ostryg, weksli i gazet; wieku walk, natchnień i giełdowego szwindlerstwa—jakże mogłeś dopuścić, by spuściznę po wdzięku, intelligencji i sztuce—objęła woda... sodowa!

—

× Wczorajszy wieczór pomyślnym był bardzo dla kasy „Teatru Letniego", albowiem publiczność zgromadzona tłumnie napełniła salę tego obszernego teatru od dołu do góry. Przyczyną takiej pochopności było gościnne wystąpienie a raczej debiut pani Zimayer, rozgłośnej i ulubionej aktorki, która już od lat kilku pozyskała sobie mir wielki u widzów w teatrzykach ogródkowych, w ostatnich zaś czasach występowała z wielkiem powodzeniem na scenie Lwowskiej, gdzie i na rok obecny została zaangażowana.

Pani Zimayer wybrała sobie na debiut dwie role osierocone po ś. p. Bakałowiczowej: Pawłowej w „Starym Kawalerze" Blizińskiego i Leona w „Grzeszkach Babuni". Zadanie było trudne i wyprawa bardzo niebezpieczna. Ogromny talent nieboszczki Bakałowiczowej i powszechne współczucie otaczające świeżą jeszcze mogiłę tej znakomitej artystki, stanowią nieuknikniony szkopuł dla każdej, choćby i bardzo zdolnej nawet aspirantki do repertuaru przez nią osieroconego. Pani Zimajer jednakże wyszła bardzo szczęśliwie z tak niebezpiecznej sytuacji a dopomogły jej do tego w części, żywa sympatja zdobyta już na ogródkowych scenach u publiczności warszawskiej, w części zaś i to główniej,—niezaprzeczony i niepospolity talent któremu wszędzie, na każdem miejscu sprawiedliwość oddać należy.

Pawłowa w komedji Blizińskiego który w znanej skromności swojej, sam może nie wie o tem że napisał małe arcydzieło sceniczne, pełne prawdy, humoru i życia—jest postacią którą odtworzyć dość trudno—z powodu że obok rubasznośći wieśniaczej w gestach i czysto ludowego języka, autor wlał w nią uczucie serdeczne, które poetyzuje tę pospolitą wieśniaczkę i usprawiedliwia wielce samo zakończenie sztuki, które bez tego odcienia w charakterze Pawłowej byłoby zbyt ekscentrycznem,—trywialnem nawet. Otóż, p. Zimayer, choć z początku widocznie wzruszona i strwożona pierwszym na tej scenie debiutem, potrafiła wybornie odegrać całą rolę swoję,—z wyjątkiem tego drobnego z pozoru a w istocie bardzo ważnego odcienia. Wspomniane już wyżej wzruszenie sprawiło także iż głos artystki zazwyczaj donośny, który pomimo oryginalnego nieco brzmienia, przedzierał się przez całe przestrzenie ogródków i do serca słuchaczy przenikał — wczoraj, w roli Pawłowej, zwłaszcza na początku komedji, osłabł i zniewyraźniał wielce. Więc też nie dziw, iż pomimo dobrej i bardzo zdolnej gry tej roli w ogóle, publiczność chociaż sutemi oklaskami szafowała hojnie debiutantce, pozostała jednak niezdecydowaną...

Lecz p. Zimayer ośmielona serdecznem przyjęciem, snadź odzyskała zwykłą sobie swobodę i w „Grzeszkach babuni", przedstawiła postać młodego Leona tak znakomicie, że najsurowsza nawet i najnieprzyjaźniejsza usposobiona krytyka, nic jej zarzucić nie może. Rola ta przypadła tem bardziej do talentu debiutantki że przetwarzając jej płeć na scenie, nie wymagała też i dystynkcji na której p. Zimayer, artystce *par excelence* ludowej, koniecznie już zbywać musi.

Burza oklasków spadała na wczorajszą debiutantkę, podczas jej gry w „Grzeszkach" a po skończonem widowisku, nie było końca okrzykom i przywoływaniom, które nam przypomniały zbyt egzaltowane objawy radości ogródkowych widzów.

Rozumi się że z wczorajszego widowiska oceniamy tu *wyłącznie* grę samej debiutantki, i dla tego nie wspominamy wcale o wzorowej grze zwykłego personelu, w obydwóch przytoczonych sztukach—chociaż... *suum cuique* wypada zanotować fakt niezwykły iż p. Mazurowska w roli guwernantki w Starym Kawalerze, w jedynej scenie w jakiej tam występuje zrobiła istne *furore*.

—

× ...Wsadzono cię wbrew twej woli na wóz o skrzypiących kołach, zaspany woźnica machnął biczyskiem, wygłodzone hetki szarpnęły leniwie—i pojechałeś. Wieczór był gorący i tylko żaby monotonnie gderały na trzęsawiskach. Do celu twojej podróży było daleko—ach, wściekle daleko—musiałeś zaś jechać wolno, bo na drodze pełno było mokradeł i piasków, piasków i mokradeł. Chciałeś zapalić cygaro aleś nie miał ognia, chciałeś zawiązać rozmowę ale woźnica był idjotą, chciałeś przyjrzeć się okolicy, ale dokoła rozciągała się gładka i pusta równina. Spać nie mogłeś, boś się wyspał za dnia, więc nasunąwszy czapkę na głowę pogrążyłeś się w tem przykrem odrętwieniu ducha, które nie jest ani snem ani jawem, a jednak ma w sobie coś i z jawu i ze snu. Nareszcie wóz się zatrzymał, wysiadłeś i w nagrodę za przebyte trudy znalazłeś liczą karczemkę, w której nie dano ci ani wygodnego noclegu ani uczciwego jadła...

Smutny obraz, nieprawdaż?

A jest on właśnie jak najwierniejszem odbiciem wrażeń, jakich doświadczałem wczoraj na nowej, oryginalnej komedji, którą napisał p. Gawroński a wystawił p. Trapszo.

Tytuł tej komedji: „Pożar na wsi"—mogę wam jednak zaręczyć, że jeżeli znajduje się w tym „pożarze" jakikolwiek ogień, to nie wybucha on bynajmniej płomieniem, ale tli się spokojnie na podobieństwo wilgotnej szmaty.

Mówiąc ściśle, autor p. G. nie posiada ani jednego z kardynalnych warunków, niezbędnych dla wszelkiej kreacji dramatycznej. Występujące w nim figury, są marjonetkami bez krwi i nerwów, naśladującemi w każdem poruszeniu znane skądinąd postacie. Dowcipu ani na lekarstwo, a miejscami *koncepta* pobudzające jedynie do bezmyślnego uśmiechu. Tendencji żadnej, pomysł nie nowy i niezbyt szczęśliwie wybrany, morały wetknięte wodniste dialogi nakształt rodzynków w ciasto, przypominają Wirgiljuszowe: *apparent rari nautes*...

Przebacz mi autorze ten sąd surowy, a szczery;—w dzisiejszych warunkach dziwić on nie powinien, gdyż w obec niepomiernego rozrostu dramaturgji naszej, niezręcznych prób tolerować niepodobna. Dziś na tem polu występuje się co najmniej z zapowiedzią prawdziwego talentu, albo... albo się milczy.

O grze artystów nie wiele powiem. Pan Siennicki był szablonowym szlachciurą; pani Siennicka wdzięcznie kokietowała swego sztywnego adonisa, a p. Urbański patetyzował *come sempre*.

—

× Z potopu nowości dramatycznych, jakiemi p. Teksel uczęstuje niezadługo publiczność teatr jego odwiedzającą, wymieniamy kilka, a mianowicie: *Zampę* (operę Herolda), *Małpę Żoko* oraz *Kowala i Ślusarza.* Wybór sztuk pochwalamy, dziwimy się jednak dla czego pan T. nie stara się o wzbogacenie swego repertuaru utworami oryginalnemi. Te ostatnie żywiej jakoś przemawiają do serc słuchaczów, a na brak ich uskarżać się nie można, gdyż muza poezji dramatycznej w ostatnich czasach przemawiała u nas i często i pięknie.

—

× W Eldorado wystawiono dramat Goetego „Faust“ *Honneur au courage malheureux!* P. Urbański w tytułowej roli deklamował piękne wiersze Krajewskiego (tłómacza), z przesadą iście prowincjonalną; P. Trapszo ze złowrogiej, cynicznej i na wskroś demonicznej postaci Mefista, zrobił pocieszną marjonetkę.

— A Margerita?

Ta jedna podobną była, choć odrobinę, do swego poetycznego pierwowzoru. Przedstawiała ją pani Siennicka, a przedstawiała z niezgorszem zrozumieniem rzeczy i umiejętnie miarkowanym *patosem.* Szczególniej chwali się jej opowiadanie w akcie II (to, w którem Margerita staje się „Małgosią“—cichą, prostoduszną i gospodarną niemeczką, zwierzającą się przed kochankiem z najtajniejszych uczuć i myśli) oraz wysoko dramatyczna scena z aktu ostatniego, będąca jednem z najwznioślejszych arcydzieł romantycznej poezji. W Pułtusku, Siedlcach, Piotrkowie—ba i w Lublinie nawet, gra p. Siennickiej w tej scenie zrobiłaby *furore*—lecz warszawska publiczność—widziała już w tej samej scenie, pannę Deryng... niestety!

—

× Donoszą nam z Ciechocinka że na sezon tegoroczny, mniej znacznie niż na dawniejsze, zjechało się tam gości. Liczba ich razem nie przenosi siedmiuset osób, i to takich tylko, których choroba lub obowiązek towarzyszenia chorym przyjechać tam zniewoliły. Przyczyną takiego zniechęcenia do miejscowości słynącej słusznie z przymiotów uzdrawiających, ma być nadzwyczajna drożyzna mieszkań i żywności dla tych zwłaszcza podróżnych, którzy muszą mieszkać i jadać w hotelu Millera, bądź też zaopatrywać swoje śpiżarnie domowe produktami sprzedawanemi im z drugiej ręki bo z pierwszej czyli wprost od wieśniaczek przybywających z okolic tylko rano do godziny 5 zaopatrywać się można, gdyż o tej godzinie delegaci p. Millera zakupują wszystkie produkta i następnie sprzedają one chorym prowadzącym własną kuchnię po cenach wtrójnasób wyższych. Obok tych materjalnych niedogodności są inne jeszcze. W Ciechocinku brakuje komfortu i tych drobnych wygód, do których ludzie zamożni, zwłaszcza też mieszkańcy miast większych przywykli. Nie można także twierdzić ażeby sztuki piękne i w ogóle widowiska dostarczały biednym Choraczjuszom dużo rozkoszy duchowych, albowiem miejscowa orkiestra przygrywająca męczennikom skazanym na picie szklanki lub kąpiel w błocie, tak podobną jest do orkiestry Lewandowskiego, jak skrzeczenie żaby do śpiewu słowika. Prawda że obecnie zjechała tam trupa dramatyczna p. Modzelewskiego, i że w jej składzie znajduje się wielu tragików i amantek, lecz dla chorych wzruszenia silnie dramatyczne i uczuciowe praktyki nie potrzebne. Dla tego to może pierwsze przedstawienie tej trupy w zeszłą niedzielę, nie miało ani wielu widzów, ani wielkiego powodzenia. Że cena miejsc była zbyt słona... nie dziwimy się temu—bo jakże mogła być inna w miejscowości tak nasyconej solą.

—

× Teatr (chociażby nawet Antokolski) jest pokarmem dla ducha—kąpiel zaś połączona z gimnastyką jest dzielnym środkiem odżywiania nadwątlonego organizmu, i uczy pływać znakomicie (chociażby w szkole pływania p. S. Majewskiego). Ale obydwa te pokarmy tak dla ducha jak i dla ciała nie mogą być dawane jednocześnie, ani też składy tych pokarmów nie powinny być w blizkiem z sobą sąsiedztwie. Tymczasem na Pradze istnieje cóś podobnego. Szkoła pływania znajduje się przy drodze prowadzącej do teatru, i skutkiem tego śpieszące do Antokolu piękne i skromne prażanki, oraz towarzystwa dążące na kolacyjki pod Raka, pomimowoli muszą patrzyć na młodzieńców w greckim stroju, którzy wszedłszy na wysoką trampolinę dają się oglądać z wału przez czas pewien, potem zaś skaczę w mętne fale ukochanej Wisły.

Ten obrazek pełen arkadyjskiej prostoty, miłym jest bez zaprzeczenia, ale byłby on nierównie milszym gdyby postarano się o parawan, i zakryto nim szkołę pływania.

Bądź co bądź, obywatelki przedmieścia Pragi należą do płci pięknej, i należałoby uwolnić je od przechodzenia tysiąca kroków z odwróconemi głowami.

—

× Wczorajszy „Dziennik Warszawski“ zamieścił w przekładzie rossyjskim artykuł wstępny sobotniego „Przeglądu Tygodniowego“ pod tytułem „nasze drogi polityczne.“ Widocznie, Przegląd Tygodniowy zyskuje sobie coraz szersze uznanie.

—

× Formalności są zwłaszcza w sferach urzędowych wielce użytecznemi, a nawet pożądanemi ze względu porządku, lecz zachowywane w stosunkach prywatnych, stają się niedorzecznemi i śmiesznemi. Znam, jednego z redaktorów i współwydawców pewnego pisma, który cześć dla formuł posuwa do fanatyzmu, ze szkodą pisma i niestety — pracowników. Pan *** powiada naprzykład murzynom białym, vulgo literatom: „Zgłaszajcie się do mnie po odbiór honorarji w dniu 1 każdego miesiąca“. Na podstawie takiego zapewnienia, w oznaczonym dniu (wydawca przyjął za zasadę nie określać ściśle godziny), stawa pan Nemo i dowiaduje się z pewnem zdziwieniem, że przedewszystkiem potrzeba podać likwidację.

— Czy na stemplu i w jakiej cenie łaskawco, zapytuje literat z uśmiechem.

— Na papierze najprostszym, jest odpowiedź. Uradowany przynosi rachunek, lecz znowu nowy go zawód spotyka.

— Złożyłeś pan likwidację, to prawda—mówi wydawca—ale mój wspólnik musi ja teraz sprawdzić.

— Ależ panie, odzywa się pracownik, przecież nie podawałbym fałszywego rachunku.

— Wierzę mój panie, ale porządek u mnie przedewszystkiem.

Nemo odchodzi przeklinając w duchu ów porządek wprowadzający nieład w jego finanse.

Na trzeci dzień zjawia się znowu Nemo z rachunkiem już sprawdzonym, i znajduje nową przeszkodę w odbiorze należności.

— Panie drogi, powiada mu wydawca, mój wspólnik kontestował rachunek ale go nie zaakceptował piśmiennie — niechże tego dopełni i własnoręcznie się podpisze.

— Czy pan żartujesz?

— Bynajmniej—taką zasadę przyjąłem i od niej nie mogę odstępywać,—formalność musi być zachowaną.

Literat, który miał przypuśćmy płacić komorne lub przeprowadzać się na inny lokal, zirytowany odchodzi—bierze dorożkę, pędzi do wspólnika, nie zastaje go w domu i wyrywa sobie włosy z rozpaczy.

Na czwarty dzień wspólnik przecież zaakceptował likwidację, więc znowu nowa peregrynacja do płatnika formalisty — i nowe rozczarowanie.

— Daruje mi pan, mówi wydawca ale brak tu jeszcze jednej formalności.—

— Jakiej u Boga żywego?—woła biały murzyn.—

— Upoważnienia do wypłaty — upoważnienia mój panie. Zostaw mi pan rachunek, przedstawię go na sesji, a za trzy dni możesz pan zgłosić się po pieniądze.

Nemo uzbroiła się w cierpliwość, chociaż go język mocno swierzbi—po upływie trzech dni, przychodzi do Redakcji i dowiaduje się że sesję odłożono do dnia następnego.

Zgłasza się na zajutrz z głową pochyloną, i niestety, nie znajduje redaktora. Powtarza się to przez całe trzy dni z kolei, aż w końcu udaje się do prywatnego pomieszkania wydawcy, gdzie służąca oznajmia mu uroczyście, że pan przyjmuje interesentów *wyłącznie tylko w Redakcji.* Na takie *dictum acerbum*, Nemo traci resztki cierpliwości i mówi do posłannicy tej wieści nieszczęsnej.

— Powiedz panu, że już więcej naprzykrzać się mu nie będę.

Czy sądzicie, że p. *** miał zamiar pokrzywdzić swego kollaboratora? Bynajmniej.—Jest to człowiek szanowany powszechnie, znany z uczciwości, — ale... niestety, z tem *ale* zawsze bieda, *ale jest formalistą.*

Panu wydawcy zdaje się, że redakcja jest kantorem bankierskim, lub jakim wydziałem buchhalterji—i wskutek tego zachodzą takie dziwadła w administracji szanownego pisma.

Gdyby takie formuły dalej p. *** zachowywał, niema żadnej wątpliwości, że nie znalazłaby jednego pióra gotowego do pracy.

—

× Wczoraj około godziny 7-ej z wieczora, przy ulicy Czerniakowskiej w domu pod Nr 92, od silnie rozpalonego komina zatliły się na poddaszu krokwie, o czem mieszkańcy dali znać do oddziału 3-go z Nowego-Światu, zkąd wysłani topornicy po wyrąbaniu tlących się krokwi, dalszemu szerzeniu się ognia zapobiegli. Część krokwi opalonych wyrąbano, więcej zaś strat w zabudowaniu nie było.

—

× Dobrą jest rzecza, zwłaszcza podczas letnich upałów, zimna studzienna woda, niemniej jednak jest dobrem, zarówno w lecie jak w zimie, wspieranie ludzi ubogich.

Spytacie pewnie: jaki zachodzi związek pomiędzy zimną wodą a ludźmi ubogimi? Oto taki, że ostatni sprzedają pierwszą—Gdzie?—w Saskim ogrodzie.

Że ze sprzedaży tej ciągną oni zyski o tyle, o ile ktoś z własnowolnych pobudek szlachetności, wrzuci do ich skrzynki skromną ofiarę—na nieszczęście jednak rozpowszechniła się w ostatnich czasach moda—bynajmniej nie chwalebna—że *hydropaci,* czyli „wodopije“ z Saskiego ogrodu, nie udzielają żadnych za wodę datków.

W takim stanie rzeczy, należałoby chyba *opodatkować* niedomyślną publiczność, i przypomnieć jej, że wszelki uczciwy stosunek pomiędzy ludzmi, na *wzajemnej* wymianie usług opierać się powinien.

—

× Na Jowisza, tego już za wiele!

Nie dość, że warszawskie *matulki* i *marmuzele* ogoniastemi sukniami wzbijają tumany kurzawy niszczącej nam płuca—nie dość, że to samo czynią stróże opóźniający się z zamiataniem ulic aż do chwili, w której obywatele miasta poczynają spieszyć do biur lub fabryk—nie dość, że wyziewy kanałów mało przypominające *milfler* lub wodę kolońską otaczają nas zewsząd, jak ongi Pytję wróżącą....

W dodatku do tych wszystkich rozkoszy, od rana do nocy jeżdżą po mieście wozy z cegłą, za któremi ciągną się chmury naj-

niezdrowszego w świecie pyłu, działającego zabójczo na nasze płuca i oczy.

Czyż nie możnaby — i czyżby nie należało—usunąć to złe albo je przynajmniej ograniczyć?...

—

× Pomimo iż obecna kanikularna pora, odstrasza silnie publiczność od wszelkich zebrań w miejscach zamkniętych, odważny p. Pistor, zasłużony Bard w orkiestrze tutejszego teatru, ogłosił na dzień jutrzejszy koncert swój w sali Harmonji. Tym razem jednak p. Pistor nie będzie grał na swojej zwykłej arfie lecz na „podwójnej“ sprowadzonej świeżo z Paryża. Ponieważ koncertant znany jest dobrze z talentu a jego „dubeltówka“ instrumentem nieznanym wcale, nie wątpimy że pomimo zagrażającego gorąca, znajdzie się wiele osób ciekawych, które pośpieszą do Harmonji — na ten podwójną harmonję.

—

× Najświeższy paragram potężnego kodeksu mody nakazuje, żeby suknie damskie były na przodzie głęboko, ale to bardzo głęboko wycinane.

Przy obecnych upałach wycięcie takie jest dla kobiet rzeczą bardzo wygodną, gdyż *ochładza....*

Czy jednak wywiera ono ten sam skutek i na zapatrzonych w nie przedstawicielach płci brzydkiej?.....

Wątpimy!

—

× Ubłogosławiona ziemia z iście macierzyńską troskliwością, stara się uwygodnić życie swym ukochanym dzieciom. Zasila je bogatym plonem ziarna zbożowego, niosąc pożywienie w najuboższą chatę wieśniaczą.—Mogłoby zdawać się, że przy takiej pieczołowitości matki, potomstwo powinno być zadowolone i syte—tymczasem dzieie się całkiem inaczej. — Im więcej ziemia wydaje zboża, tem chleb jest droższym, a ten odwrotny stosunek utrzymuje się niezmiennie, zwłaszcza w większych miastach, czego najwymowniejszym przykładem nasza miła Warszawka.

Płacimy drogo za maleńką bułkę, a co gorsza nie podobna nam jej spożyć, do tego stopnia pieczywo jest niesmacznem, mdłem i że tak powiemy gliniastem,—co tem więcej razi, że w każdej choćby najlichszej mieścinie, chleb bywa dobrze wypieczony, a w miastach takich jak Lublin, Radom, Siedlce, nawet wyśmienity. — Czemu to przypisać?— Czy prowincja posiada lepszą mąkę i więcej uzdatnionych piekarzy? Bynajmniej,—jakaż przyczyna być może złego wypieku chleba w Warszawie?

Otóż nam się zdaje, że tkwi ona w cyfrze ludności dochodzącej 300,000 głów, a tem samem i tyluż szczęk, które codziennie potrzeba sycić i to bez straty czasu. Nam się zdaje, że piekarnie posiadają za mało rąk roboczych na tak ludne miasto. Piekarze zresztą wiedzą doskonale o tem, że ich produkt choćby najlichszy, znajdzie zawsze konsumentów i o nich nie troszczą się wcale. Z tąd też nie widzą potrzeby starać się o dobry wypiek.

W innych mniej ludnych miastach, całkiem inny zachodzi stosunek—tam każda piekarnia stara się zadowolić wymagania mieszkańców, i wytwarza się pewna konkurencja o lepsze, między producentami. Jeżeli przypuścimy, że na prowincji każda piekarnia dostarcza dziennie w przecięciu dwieście bochenków chleba, to przyjmując odpowiednią ilość osób zajętych pieczywem w jakim zakładzie piekarnianym w Warszawie, cyfrę powyższą, wypadałoby pomnożyć przynajmniej przez dziesięć. W takim stanie rzeczy, piekarze nasi nie mają czasu do staranniejszego wypiekania chleba, nawet przypuszczając dobre chęci z ich strony. Zaradziliby jednak łatwo temu, powiększając liczbę pracujących w ich zakładach.

Oto nasze *desiderata.*

× Nie chcemy bawić się w doktorów, choćby dlatego, żeby nas niewyszydził jaki Stańczyk współczesny—notujemy jednak, że bardzo skutecznem, bo kilkunastoma faktami stwierdzonem *lekarstwem na katar kiszkowy* jest zwyczajna sól kuchenna, rozpuszczona w wodzie,—roztwory należy wypijać codziennie, przed przyjęciem rannego posiłku.

—

× Ponure widmo cholery pojawiło się w tym roku nad spaloną od słońca ziemią indyjską...

Strzeżmy się—a strzeżmy za pomocą hygieny i porządków sanitarnych—żeby kościcista ręka tego widma nas nie dosięgła!

—

× — Kochana pani z Płocka?

— Tak pani.

— Dawno pani przyjechała?

— Wczoraj.

— Czy statkiem?

— Nie pani, z ciocią.

— Ale czy parowem?

— Broń Boże, po Wiśle, i z muzyką.

— Nie można się z panią dogadać—a na długo też pani przyjechała.

— Nie pani, na Bielańską, do babci.

—

× Prasa Warszawska już w roku ubiegłym podnosiła kwestję obmyślenia środków mogących zapewnić wysłużonym weteranom pióra, jakąś jaśniejszą przyszłość.

Proponowano w tym celu zebranie funduszu z pomocą składek wnoszonych przez stowarzyszonych członków, należących do czynnego cechu literackiego, za uzyskaniem Najwyższego zezwolenia na podobne towarzystwo. Pojawiły się nawet deklaracje od ofiarodawców. I niestety — skończyło się na czułych deklamacjach w naszych dziennikach! Zapisano stosy bibuły o potrzebie wprowadzenia w życie projektu, napsuto farby drukarskiej, a potem?—potem złożono to wszystko w archiwum wspomnień..... do kosza. A jednak kwestja była i pozostaje dotąd ważną, naglącą i powinnaby znaleść rozwiązanie.

A jednak prawnicy pióra ze wszech względów powinniby zasługiwać na jakieś cieplejsze współczucie.

Ciężki to, znojny, mozolny, zawód literata, i zawodem pozostaje najczęściej w drugiem znaczeniu tego słowa. A iluż to ludzi żyć musi u nas ze stalówek?—z pod czaszki wykrzesywać iskry myśli, niekiedy płodnej? Iluż ludzi z tegoż szeregu, pół dnia trawi z pochylonem czołem nad papierem, i wyczekiwać musi często bardzo długo, na przetworzenie się pisma w pieniądz tak ciężko zapracowany!

A tymczasem po za oknem cichego znużonego pracownika, istnieje świat uśmiechnięty, opromieniony słońcem, wrzący życiem, na na który mu w tej chwili spojrzeć nie wolno.

Oto bowiem tuż przy nim kilkoro dzieci się krząta i potrzeba im sukienki, bucika, a przedewszystkiem ...chleba.

I noc przychodzi spędzić bezsennie, i wyrzec się czasem maleńkiej przyjemności dla tego chleba.

Myśl założenia towarzystwa opieki nad szwaczkami, w niedalekiej może przyszłości, za gorącem orędownictwem Kurjera Warszawskiego w czyn przejdzie.

Czyż literat który stargał siły w pracy umysłowej, wyczepującej więcej niż każda inna, fizyczna, niema tychże samych praw i tytułów?

Czyżby produkt mózgu mniej miał być cennym i pożytecznym, od wyrobu dokonywanego igiełką, lub szydełkiem?

Rzucamy myśl podniesienia na nowo tej kwestji w naszej prasie—oby tylko wymowny jej głos doprowadził do czynu.

—

× Oszczędność to wielka cnota, i w rozmaitych objawia się formach.

Do pewnej cukierni przychodzi zwykle zacny jakiś staruszek, aby obyczajem porządnego człowieka wypić filiżankę kawy i przeczytać gazetę.

Rzecz, jak dotąd, bardzo zwykła. Lecz jegomość ów lubi ciastka i dla dogodzenia tej słabości przynosi z sobą dwa papatacze starannie owinięte w bibułę.

— Dla czego pan przynosi z sobą ciastka pyta ciekawy chłopak.

— Bo widzisz, tam gdzie je kupuję, dają mi za trzy kopiejki ciastka, a u was za te pieniądze jest... figa, a ja przedewszystkiem lubię oszczędność.

—

× W interesie zdrowia publicznego! Od świtu do nocy, w łazienkach wiślanych kąpią się całe zastępy niedorostków. Czy nie byłoby rzeczą pożyteczną pouczać ich o tem: *jak* się kąpać należy, za pomocą pewnych „przepisów hygjenicznych,“ systematycznie ułożonych i umieszczonych raz na zawsze, w widocznem miejscu każdej łazienki?

Odpowiedzi Redakcji.

Panu W. Najstarszym ze wszystkich dyrektorów wędrownych towarzystw dramatycznych znajdujących się na scenie w Warszawie jest Paweł Ratajewicz (w Antokolu na Pradze).

Panu Sm R. Nie omyliłeś się pan.

Życzliwemu. Pismo o które pan pytasz, będzie wychodziło raz na tydzień.

Pani B. wygrałaś pani zakład, ona ma oczy czarne.

TEATR LETNI
W OGRODZIE SASKIM.

Dziś w Czwartek, 24 czerwca (6 lipca) 1876 r.
STRASZNY DWÓR
opera w 4-ch aktach, muzyka Moniuszki.
Początek o godzinie 8 wieczór.

ALHAMBRA. Dziś i codziennie przedstawienia Towarzystwa artystów dramatycznych pod dyrekcją **Józefa Teksla.**

Dziś: wyjątek z opery **Lukrecja Borgja,** —akt 2 z opery **Trubadur,** — **Lalka Norynbergska,** operetka, — **Król pasterzy,** opera w 1 akcie,—zakończy mazur w 4 pary.

Początek o godzinie 8-ej wieczorem.

ANTOKOL. (na Pradze). Dziś i codziennie przedstawienia Towarzystwa artystów dramatycznych pod dyrekcją **Pawła Ratajewicza.**

Dziś: **Szlachectwo duszy,** komedja w 3 aktach.

Początek o godzinie 8-ej wieczorem.

ELDORADO. Dziś i codziennie przedstawienia Towarzystwa artystów dramatycznych pod dyrekcją **Anastazego Trapszo.**

Dziś: **Sinobrody,** opera komiczna w 4-ch aktach, muzyka Offenbacha. Występ gościnny pani Adolfiny Zimajer.

Początek o godzinie 8-ej wieczorem.

TIVOLI (TEATR Z POZNANIA). Dziś i codziennie przedstawienie Towarzystwa artystów dramatycznych pod dyrekcją **K. Doroszyńskiego i W. Terenkoczego.**

Dziś: **Ciężka próba,** komedja, — **Przejście Wenery,** — **Lekcja astronomji,** — **Niema męża w domu.**

Początek o godzinie 8-ej wieczorem.

Dolina Szwajcarska.

Dziś zabawa muzyczno - kwiatowa na dochód *Przytuliska.*

OGŁOSZENIA.

WIELKI SKŁAD MASZYN DO SZYCIA

D. GROSSMANA

Posiada **maszyny z najpierwszych fabryk zagranicznych**, za których trwałość poręcza. **Ceny umiarkowane.** W Filji tej firmy, otworzonej na Krakowskiem Przedmieściu w domu Prechnera na 1-em piętrze, oprócz **wyborowych Machin do Szycia**, i wszelkich przyborów, osoby pragnące wydoskonalać się w szyciu na Maszynach znajdą swobodne miejsce i dokładną instrukcję. 5—0—6

Szlafroczki kretonowe po rs. 5, z haftem po rs. 6, kostjumy kretonowe po rs. 7, dolmany kaszmirowe od rs. 18, Regenmantle od rs. 10, kretony francuzkie szerokie po kop. 25, 30 i 35, otrzymał w znacznym wyborze Magazyn Bławatny

Jana Thonnes

ulica Senatorska wprost skweru.

16—0—5

Skład Bielizny

PAWLIKA

na Krakow. Przedmieściu w domu własnym. Posiada wielkie zapasy bielizny męzkiej i damskiej, oraz kołder i bielizny stołowej. Ceny umiarkowane, materjały wyborowe, robota trwała i najnowsze fasony. 13—3—3

Jest do sprzedania kilkadziesiąt par damskich rękawiczek Żytomirskich znanych powszechnie ze swej dobroci, po 1 rs. 50 k. i 1 rs. 20 k. para. Ulica Trębacka Nr. 9, wiadomość u stróża. 3—1

Fabryka Obić Papierowych

pod firmą

I. FRANASZEK

dawniej A. Vetter & C°

Przysposobiła wielkie zapasy Obić Papierowych w **najświeższych** deseniach, na trwałym papierze, po cenach **najprzystępniejszych.** 19—4—3

Znany od lat około czterdziestu

SKŁAD HERBATY

pod firmą

W. ISTOMINA

na Krakowskiem Przedmieściu w domu hr. Krasińskiego, zaopatrzony jest ciągle w **najlepsze gatunki Herbaty Chińskiej sprowadzonej drogą lądową.** Waga sprawiedliwa, wybór najdoskonalszy i umiarkowane ceny, odznaczają zawsze ten Skład od dawna reputowany. 18—3—3

WIELKI SKŁAD

MACHIN PAROWYCH

i Narzędzi Rolniczych

przy ulicy Miodowej obok Kościoła Przemienienia Pańskiego

pod firmą

GOLDENRING,

sprowadza ciągle z **Najpierwszych Fabryk** Amerykańskich, Angielskich, Szwedzkich i t. d. Lokomobile, Młocarnie, Żniwiarki, Kosiarki i wszelkie Narzędzia do użytku **Rolnictwa** i Fabrycznego Przemysłu. Wyłączna agentura powierzona tej firmie przez Najsłynniejsze Fabryki, szerokie jej stosunki za granicą i trwała reputacja wyrobiona w Kraju i w Cesarstwie, dozwalają p. Goldenring rozwijać coraz silniej pożyteczną działalność i wytrzymać wszelką konkurencję. 6—3—4

Skład Materji Czarnych

Antoniego Włodkowskiego

przy ulicy Czystej.

Sprowadził na sezon letni Najświeższe materje lekkie z pierwszych farbyk Lyońskich, które sprzedaje po cenach umiarkowanych. 12—3—4

Fabryka i Skład Perfumerji, Kosmetyków i Mydeł toaletowych

pod firmą

J. SOMMER

ulica Przejazd, w domu własnym, uskutecznia sprzedaż hurtową i detaliczną wszelkich wyrobów, tak z własnej Fabryki, jako też z celniejszych Fabryk zagranicznych. Handlującym odstępuje się rabat. 10—3—4

Znany Handel Win i Towarów Kolonialnych

pod firmą

Simon i Stecki

(dawniej Flatau)

w domu Bekera wprost Saskiego Placu na Krakowskiem Przedmieściu.

Odebrał znaczny zapas wina czerwonego z r. 1874 cenionego wysoko przez znawców. 9—3—4

Otworzona przed kilkoma miesiącami

Restauracja w b. Hotelu Angiels.

pod firmą

CONSTANT (Konstanty)

Przyjmuje wszelkie zamówienia na wystawne obiady, śniadania i kolacje zbiorowe. W sali i w oddzielnych gabinetach. 11—3—3

ZAKŁAD FOTOGRAFICZNY

J. Mieczkowskiego

ma zaszczyt uwiadomić Szanowną Publiczność, iż pragnąc oszczędzić czasu osobom oczekującym na następującą na nich kolej fotografowania się, urządził w tymże samym zakładzie drugie jeszcze atelier i powiększył zastęp zdolnych pracowników, pod osobistym dozorem samego właściciela. Reforma ta, oprócz wygody dla publiczności, powiększy nadto jeszcze i artystyczną wartość portretów fotografowanych, albowiem wiadomo jest z doświadczenia, że o ile twarze osób świeżo zasiadających do fotografowania się, są pełne ożywienia i naturalności, o tyle znowu rysy twarzy oczekujących zbyt długo na chwilę zdjęcia z nich portretu, przybierają cechę znużenia i charakter posępny. 1—0—4

Дозволено Цензурою, Варшава 24 Іюня 1876 г.—Czcionkami M. Ziemkiewicza Krakowskie-Przedmieście Nr. 415.

Wydawca, Aleksander Niewiarowski. Redaktor, Jan Mieczkowski.